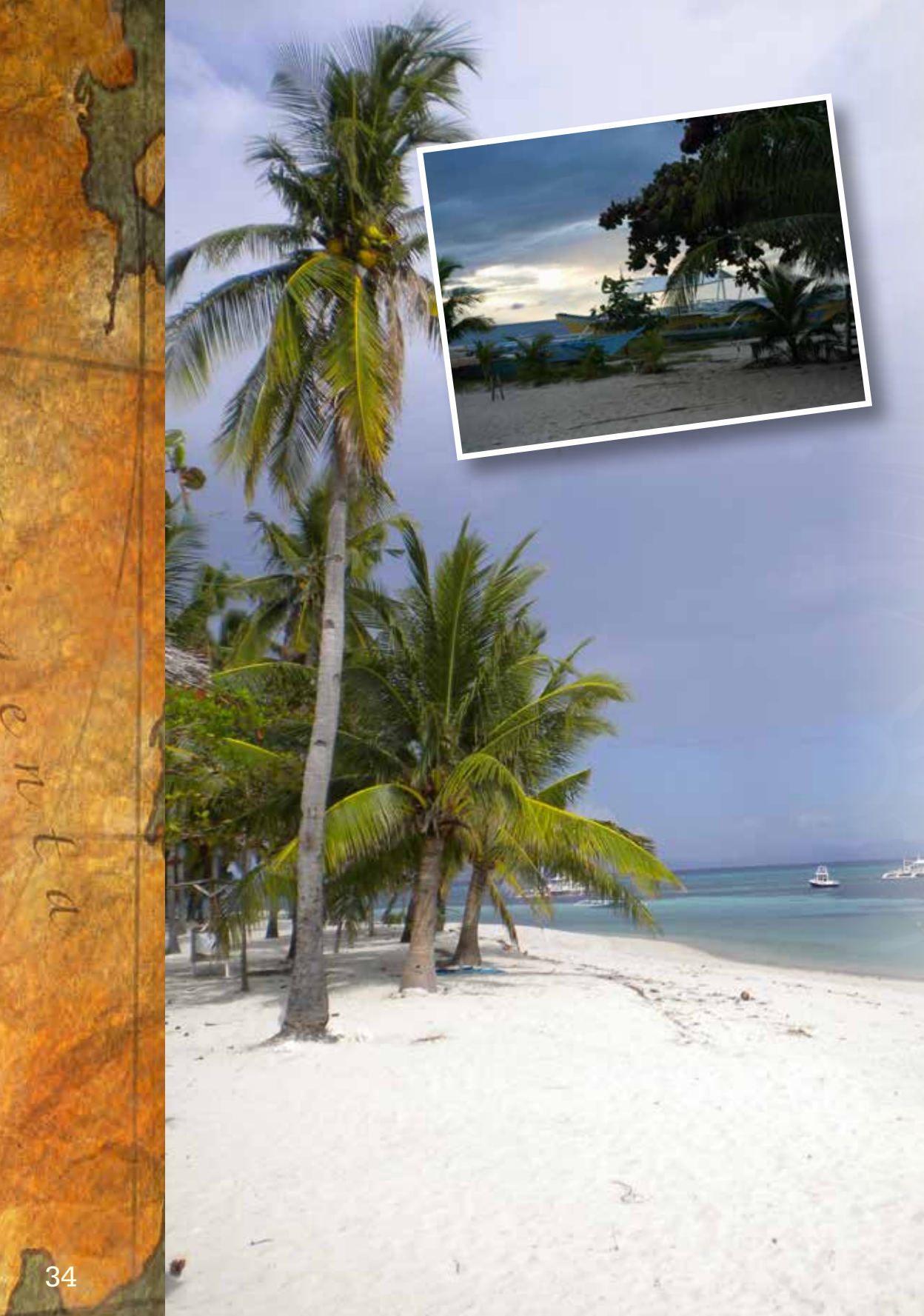


Filipiny, zima 2009

Na mojej liście miejsc na ziemi, które zamierzam nawiedzić, przybywają ciągle nowe destynacje. A ja z uporem maniaka staram się skracać tę listę bujając się po świecie bliskim i dalekim. Kupiłem jesienią 2009 r. bilet do Gwatemali. Zamierzałem zobaczyć ślady cywilizacji Majów. Przyzwyczajony podczas moich ostatnich licznych wędrówek do stabilnej Azji Południowo-Wschodniej nie patrzyłem na informacje o kraju. Dopiero na kilka dni przed wyjazdem zacząłem analizować strony internetowe niemieckiego, brytyjskiego i amerykańskiego MSZ. Z każdym dniem informacje były coraz bardziej niepokojące. Gdy na cztery dni przed wylotem potwierdzono zamieszki w stolicy oraz porwania w miejscach, które zamierzałem zobaczyć, zadzwoniłem do biura podróży i zamieniłem bilety do Gwatemali na bilety na... FILIPINY! To ostatni kraj Azji-Południowo-Wschodniej, którego jeszcze nie widziałem.





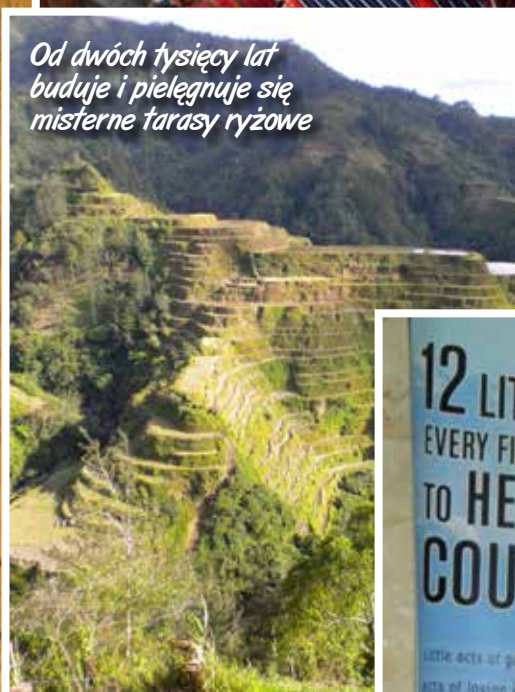
Boso pod palmami

Na wstępie poszybowałem, pojechałem, a na koniec popłynąłem drewnianą łodzią do Raju Na Ziemi. Mała wyspka bez samochodów, bez dróg. Cały tydzień chodziłem boso między palmami po bielutkiej plaży. Na śniadanko świeży ananas i cztery mango. Potem lektura kolejnej książki Naomi Klein, przekleństwa pod adresem janke-sów, kapitalistów, utyskiwania na cywilizację zachodnią. Masaż. Na obiad i na kolację na stolik położony tuż pod palmą na plaży wjeżdżało to, co akurat danego dnia udało się złowić miejscowym rybakom. Raz rybka, innym razem kałamarnica, kolejnego dnia rybka inaczej, kiedy indziej krewetki. 7 dni = 7 obiadów i 7 kolacji = ileż różnych sposobów przyrządzenia owoców morza? Bezsenne noce to standard w tropiku po trzydziestu godzinach w samolocie w strefę czasową oddaloną od naszej o 7 godzin. Ile już takich Rajów Na Ziemi zobaczyłem w życiu? Wiele. Jestem koneserem spokojnych miejsc, gdzie cywilizacja nie dotarła, gdzie jest pięknie. Nie napiszę, gdzie byłem, by nie pojawiła się tam zaraz chmara turystów z Polski, którzy zaczną zamawiać zupę pomidorową, frytki (kiedyś na Bałkanach pewien kelner zrobił zdziwioną minę i po przyjęciu ode mnie zamówienia na owoce morza powiedział, że turystę z Polski poznać po tym, że zamawia frytki i pomidorową) i robić obciach podczas alkoholowych libacji (zob. opowiadanko o Rwandzie w książeczce Mój Świat). Bliskim, przyjaciółom osobiście zdradzam te moje wszystkie sekretne miejsca, do których niebawem pewnie wrócę.





*Kolorowa, spokojna starość
- żadne pieniądze jej nie zastąpią*



*Od dwóch tysięcy lat
buduje i pielęgnuje się
misterne tarasy ryżowe*



*Takie oto uniwersalne przykazania obywatelskie
odnalazłem na ścianie na małym lotnisku gdzieś
na południu Filipin*



*Na polu ryżowym gdzieś
w okolicach Banaue i Batad*



*Pośrodku ogromnych pól ryżowych w wysokich Kordylierach
na wyspie Luzon umiejscowiono skromne miasteczko*

Miasto Aniołów

Po tygodniu spędzonym pod palmą z dobrymi książkami pod nosem postanowiłem wdrapać się na wulkan. Mam jakąś dziwną obsesję. Za każdym razem, gdy mam okazję wejść na wulkan, robię to.

Magiczne uczucie towarzyszy zawsze wdrapywaniu się na dymiący pagórek.

Z daleka wulkan rzadko wygląda jak wulkan. No może El Misti w Peru tak wyglądał. Ale który jeszcze?



Także z bliska żaden wulkan nie wygląda jak wulkan. Góra po prostu. Wspinając się na górę, wiem, że jest ona krawędzią krateru. Nie wiem jednak, co za ową krawędzią się kryje:

- Turkusowe jezioro? (Kelimutu, Flores)
- Szafirowe bajorko? (Wawamuda, Flores)
- Smrodliwy dym siarki wydostający się ze szczelin między skałami? (Jak nazywał się ten piękny wulkan na Sumatrze?)
- Inny wulkan (Rinjani, Lombok)?
- Rozgrzana skała, na której zrobię sobie jajecznicę (Batur, Indonezja)?



- Syczące kłęby dymu (nie przypominę sobie nigdy chyba nazwy pierwszego wulkanu, na który się wdrapałem, był na Sulawesi)?
- Nic? - Tak, zdarza się i tak, że albo nic nie widać (drugi wulkan na Sulawesi - dawno było, wspinałem się w ogromnej mgłę licząc, że u góry zobaczę piękny krater - a tu nic, tylko deszcz i chmury), albo nic faktycznie nie ma, ponieważ erupcja była dawno, wulkan przestał być aktywny i zarósł roślinnością bujną na tych szerokościach geograficznych.





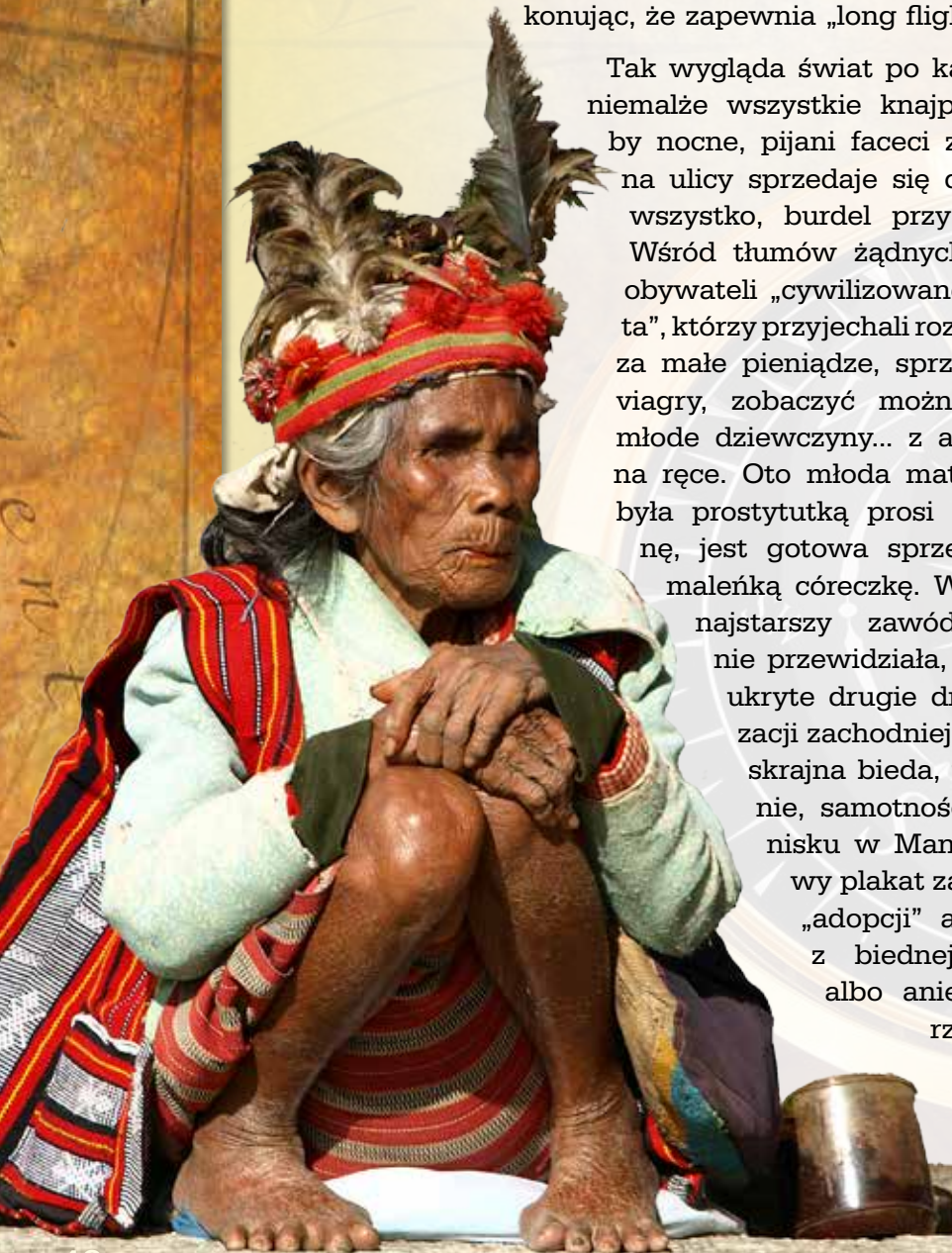
Tym razem moim oczom ukazało się wielkie turkusowe jezioro. Piękny widok ukazał moim oczom Pinatubo, ale nic nie przebije magicznego Gunung Rinjani. Obawiam się, że to najbardziej magiczna dymiąca góra, jaką przyszło mi kiedykolwiek widzieć i piękniejszej już chyba nigdy nie zobaczę.

By wdrapać się na Pinatubo, trafiłem do pewnego miasta, w którym stosunkowo niedawno była baza amerykańskich sił powietrznych, z której to bazy startowały samoloty z agent orange (pestycydy, którymi mordercy ze Stanów swego czasu truli naród wietnamski) i z napalmem (służył do palenia całych wsi w Wietnamie). Jankesi na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy było już wiadomo, że wkrótce z ogromnym impetem wybuchnie Pinatubo i pogrzebie nieokreślone połacie ziemi, w pośpiechu zwinęli swoje manatki i przeprowadzili się do bezpieczniejszych krajów.

Co zostało z Bazy? - Bary, w których przesiadują wielcy, z reguły dość leciwi, wyjątkowo obleśni zdegenerowani

Amerykanie, Niemcy, Holendrzy, Angole z młodocianymi, filigranowymi, wyjątkowo pięknymi Aniołkami. Te Aniołki są jeszcze dziećmi. Te Aniołki są prostytutkami, które wynajmuje się na godzinę, tydzień, miesiąc, a czasem na lata. Pochodzą z biednych rodzin, żyją w slumsach, sprzedają to, co mają najcenniejsze: siebie. Zblazowany i zwiotczały amerykański albo europejski fiut może kupić na ulicy podróbkę viagry. Sprzedawca zachwala ją przekonując, że zapewnia „long flight”.

Tak wygląda świat po katastrofie: niemalże wszystkie knajpy to kluby nocne, pijani faceci za barem, na ulicy sprzedaje się dosłownie wszystko, burdel przy burdelu. Wśród tłumów żadnych wrażeń obywateli „cywilizowanego świata”, którzy przyjechali rozerwać się za małe pieniądze, sprzedawców viagry, zobaczyć można piękne młode dziewczyny... z anieleciem na ręce. Oto młoda matka, która była prostytutką prosi o jałmużnę, jest gotowa sprzedać swą małą córeczkę. Wykonując najstarszy zawód świata nie przewidziała, jakie jest ukryte drugie dno cywilizacji zachodniej. Jest nim skrajna bieda, upokorzenie, samotność. Na lotnisku w Manili kolorowy plakat zachęca do „adopcji” aniołeczka z biednej rodziny albo anielecia porzuconego.





W hotelu uśmiechnąłem się do wysokiego barczystego Amerykanina z Massachussets, który całe popołudnie bawił się z małą skośnooką córeczką. Kochał ją. Ojca kochającego poznać z daleka. Podszedł do mnie i zagadnął. Pochodził z rodziny litewskich emigrantów, którzy wyjechali do Stanów przed wojną. Był całe życie żołnierzem. Pracował na całym świecie w amerykańskich bazach lotniczych. Jego osiemnastomiesięczną córeczkę, która ufnie i bezpiecznie leżała na jego ogromnym ramieniu, urodziła prostytutka. On dowiedziawszy się o tym, że zostanie ojcem, przyjechał dziesięć miesięcy temu na Filipiny, odkupił Aniołeczka od matki i zabrał do Stanów. Wychowuje sam. Z uśmiechem mówi o nieprzespanych nocach, o trudach opieki nad małym dzieciątkiem. Z matką nie ma kontaktu. Jest aniołem... w Angeles w północnych Filipinach. Takim kolorowym smutnym mieście nieszczęśliwych aniołów. Tych dużych-dorosłych i tych małych-niewinnych.



Wstrząśnięty historią Donalda i jego maleńkiej córeczki Aldony ruszyłem na północ ku magicznym tarasom ryżowym. Dotarłem w góry, gdzie prości ludzie od wieków budują na stromych zboczach misterne tarasy ryżowe, kanały, tamy. Wszystko po to, by móc raz albo i dwa razy w roku zebrać życiodajny ryż. W małych wioseczkach ludzie ciężko pracują od świtu do nocy. Wiodą szare, monotonne życie. I nie są mniej szczęśliwi od uśmiechniętych dziewczyn sprzedających swe ciała w mieście aniołów. Spokój, nawet mniej kolorowy, bliscy, to powoduje, że człowiek, nawet bez blichtru, jest szczęśliwszy.

